

**„Jak lubartowski hutnik przechytrzył diabła Czarciołapka”
(str. 71 – 76)**

Wracał pewnego razu listopadowym zmierzchem hutnik Marzenda do domu. Po pracy, ale nie z pracy. Piątkową wypłatę trzeba było uczcić, więc się w kilku koleżków zatrzymali po drodze na małe piwko. Jedno, drugie, potem któryś postawił kielicha. Zagadali się kolesie, rozdyskutowali, aż się na dworze zrobiła ponura ciemnica. I choć rozstali się na różowo, to jednak w miarę przebywanej drogi Marzenda markotniał coraz bardziej. Nic dziwnego, bo i grosza z wypłaty ubyło sporo, i późność nastąpiła, i w domu Marzendzina ani chybi cierpkim słowem znowu powita.

— Chyba sam diabeł mnie dziś na to piwo skusił — mruknął do siebie hutnik. — No, tak. Dziś piątek i w dodatku trzynasty. Trza dobrze uważać, żeby mi się jeszcze jaki Zły nie przypętał na dodatek. Tfu!

I splunął siarczyście za siebie. Przez lewe ramię, oczywiście. A tu w skąpym świetle latarni majaczy się jakaś postać. Idzie, ale jakby trochę kuśtykając. Kulawy, czy co? A może też po piwku? Zrównali się na chodniku.

— Cześć, koleś — zachrypiała postać.

— Cześć — odmruknął niechętnie Marzenda.

— Co to, sąsiada nie poznajesz? Siedziałem obok, jak ciągnęliście to piwko. Nie pamiętasz? Kłaniałem ci się.

Spojrzał hutnik na nieznanomego. Nieduży, na gębie czarniawy. Cygan, nie Cygan? Bródka w szpic, wąsik niewielki. Na Murzyna za jasny, na Hindusa za ciemny. Czapka wciśnięta głęboko na oczy, czarny szalik okręcony dokoła szyi, na grzbiecie nieprzemakalny płaszcz, granatowy, jakby kolejarSKI.

— Nie poznajesz? - powtórzył czarniawy. — No, to trzeba, żebyśmy się poznali. Chodź, znam tu nowy lokalik. Pokażę ci. Szwagroszczak właśnie dziś go otworzył, każdy gość otrzymuje pierwszego kielicha gratis. To co? Wpadniemy na jednego?

Nagły powiew chłodu sprawił, że Marzenda wzdrygnął się. Za kołnierz wcisnęła mu się jakaś listopadowa zimnica, przyspieszając decyzję.

— Dobrze. Po jednym możemy zrobić, dlaczego nie? — zgodził się na myśl o ciepłym lokalu. — W dodatku, jeśli gospodarz stawia...

Szli krótko. Zaraz za pierwszym rogiem weszli w jakieś podwórze. Marzenda przysięgłby, że nigdy nie było tu żadnego lokalu, ale nad niską parterową budą jarzył się czerwony neon: „Przedpiekle”. Po kilku schodkach zeszli w dół. Powitało ich ściemnione czerwone światło, zaduch, dym z papierosów, ale zalatujący chyba siarką i potworny hałas.

— To chyba jakaś nowa dyskoteka? — spytał hutnik swego przewodnika.

— Aha, właśnie całkiem nowa — odparł tamten.

Usiedli przy barku.

— Dwie firmowe! — zarządził czarniawy.

Barman, dziwnie podobny do nowego znajomego Marzendy, postawił przed nimi dwa spore kielichy, nad którymi nagle zamigotały niebieskie płomyki.

— Co to? — przestraszył się hutnik, choć przede ognia był zwyczajny.

— Nic takiego — zaśmiał się czarniawy. — To specjalność lokalu „Piekiełko”, czyli płonący grog. Spójrz, koleś, na stoliki. Wszyscy też to piją. O, tak! — ujął kielich w dłoń, przechylił i jednym haustem połknął płynny ogień.

Marzenda rozejrzał się dokoła. Faktycznie, obecni w lokalu goście też pili ten dziwny płonący napój. Jedni wielkimi łykami, inni pomalutku, ostrożnie. Spróbował więc i on. Płyn był gorący,

przypominał domowy krupnik z korzeniami albo grzany miód. Po każdym łyku jakby ogień rozlewał się hutnikowi po całym ciele. — Nie najgorsze — stwierdził, gdy w kielichu pokazało się dno. — To jeszcze po jednym, ja stawiam — zakomenderował przewodnik.

Wypili. Potem jeszcze po jednym. Napój wydawał się Marzendzie po każdym łyku lepszy, smaczniejszy. Widząc to tamten postawił znów.

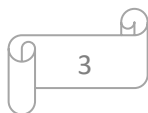
— Nie! — zaprotestował Marzenda. — Dobre było twoje, dobre będzie i moje. Panie barman! Teraz moje dwie kolejki!

Dym zasnuwał lokal coraz gęściej i coraz bardziej dawał się wyczuwać obcy zapach siarki, ale rozochocony Marzenda nie zważał. Przepijał do nowego znajomego, do barmana, do innych gości. Czuł się tak, jak w niebie, chociaż byli w "Przedpieklu". Gdy jednak doszło do płacenia rachunku, okazało się, że z całej wyplaty nie pozostało nic.

— Jak ja teraz do domu wrócę bez grosza? Co mi moja kobita powie? Chyba łeb mi rozbije — zabiadolił przestraszony hutnik.

— Nie frasuj się, koleś — rzekł czarniawy. — Pomogę ci chętnie, boś ty człowiek swój. Szczodry, użyczliwy i dobry kompan do kielicha. Ja zapłacę cały rachunek, a ty mi go podpiszesz na odwrocie, żebym się przed szefem rozliczył. Pójdzie wszystko z naszych specjalnych funduszy reprezentacyjnych... Nabazgrawszy coś szybko na drugiej stronie rachunku, czarniawy podsunął go Marzendzie. Ten, nie czytając, położył na nim swój podpis. Nieznajomy chwycił rachunek, przykrył z góry papierową serwetką i chuchnął mocno. Zdumionemu Marzendzie podał najprawdziwszą odbitkę ksero, a oryginał schował do kieszeni.

— W porządku, koleś. Jesteś nasz chłop. W nagrodę za to następnym razem wpadniemy do innego lokalu, jeszcze lepszego. Zabiorę cię do „Piekła”. Jestem Czarciotapek. Diabeł. Do usług... — zaśmiał się szatańsko.



W tym momencie zawirowało i zniknęło wszystko, niby nagle urwany film. Tak się wydawało przynajmniej Marzendzie. Zaświatała piekielna wichura, przygasili barowe świtała, rozpętał się diabelski młyn. Przepadł gdzieś barman, rozplynał się w dymie i mgłę czarniawy a z nim goście, orkiestra, stoliki, lampy, krzesła. Jakaś dziwna siła uniosła zmiękłego w sobie hutnika i smyrnęła nim prosto w nicość. Cały świat zatracił mu się do szczętu...

Marzenda po jakimś czasie z trudem oderwał się od ściany bardzo brudnego i obdrapanego śmietnika stojącego w miejscu, w którym jeszcze niedawno znajdowało się „Przedpiekle”. Na miękkich nogach, z huczącym w głowie młynem poczłapał powoli do domu. Jak przywitała go żona, nie warto nawet wspominać...

Nazajutrz z trudem rozpamiętując wieczorne zdarzenie i oglądając tę dziwną nieszczęsną odbitkę, pojął, że podpisał diabelski cyrograf i że jest w piekielnej mocy. Jął przemyśliwać, jak się z niej uwolnić i powoli zaczął mu się rodzić prawdziwie diabelski plan. Inny zresztą nie wchodził w rachubę.

Następnego piątkowego wieczoru przyszedł i stanął Marzenda pod obdrapanym śmietnikiem i rozejrzawszy się, czy kogoś nie ma w pobliżu półgłosem zawołał:

— Hej! Czarciołapek! A pokaż się, ty piekielny synu!

— Cześć, koleś! Wołałeś mnie? Idziemy już do piekła?

— Tak, możemy, ale najpierw chciałbym ci pokazać coś bardzo ciekawego. Chciałbym, żebyś zwiedził naszą hutę. Pracuję w niej już dobre trzy dziesiątki lat. Przy piecach wytapiających szkło. A gorąc tam taki, jak w piekle. Będiesz się dobrze czuć, zobaczysz! — Jak tu piekło, powiadasz? No, to dobrze. Chętnie sobie popatrzę. Wpadnę któregoś dnia.

— Ale tylko po fajrancie — uprzedził go hutnik.

Długo nie czekał. Po paru dniach diabeł zjawił się pod bramą i gdy tylko wszyscy pracownicy opuścili zakład, ruszyli we dwóch

na zwiedzanie. Czarciotąpkowi podobało się wszystko. Zachwycał się misternym szlifem kryształów, podziwiał zmyślność linii produkcyjnych, jednak najdłużej zatrzymał się przy hutniczych piecach.

— Ale tu swojsko, ciepłutko — chwalił. — Prawie jak u nas w piekle.

— A może chciałbyś wejść do środka pieca? Wykąpać się w roztopionym szkłe? — zagadnął hutnik w nadziei, że czort spali się na węgiel.

— Dlaczego nie? Jeśli tylko można, to chętnie spróbuję — zgodził się bies.

Marzenda uchylił zasuwę. Buchnął straszliwy żar.

— Właż, diable. Ale jeszcze moment zaczekaj. Masz przy sobie ten rachunek?

— Mam. Jakże inaczej?

— To mi daj, bo tu piecu spali się na amen i diabli wezmą całą sprawę.

— Racja. — Bies podał papier Marzendzie, a sam nurknął do pieca.

— Ooo! Uuu! — na całą halę rozległo się diabelskie wycie.

— Dobra nasza — pomyślał hutnik. — Zaraz się ten czarci syn ugotuje w szkłe i będę miał już spokój. He, he, dobry miałem pomysł.

— Ooo! Aaa! — dobiegło znów z czeluści pieca, jednakże nie był to okrzyk bólu. Diabeł wył z rozkoszy. — Uuu! Ale tu dobrze! Prawie jak w piekle, tylko znacznie czysćiej. Szkoda jedynie, że smołą i siarką nie pachnie. Mogę się jeszcze troszkę w tej kąpieli popluskać?

— Ile tylko chcesz — przyzwolił Marzenda, zmartwiony, że mu się diabeł nie ugotował. — Ale może chciałbyś zobaczyć coś jeszcze ciekawszego? — I pomyślał, że teraz musi szybko szukać jakiegoś innego sposobu na swego gościa. Bardziej skutecznego. Zaintrygowany Czarciotąpek wysunął głowę z pieca. Rozgrzane

do czerwoności i oblane płynną masą rogi jarzyły mu się niby samochodowe światelka „stop”.

— A co mi jeszcze pokażesz?

— Palniki. Chodź, zobaczysz.

Ociekający roztopionym szkłem czart wygramolił się z pieca, otrząsnął z resztek jak pies po wyjściu z wody i przeszli obydwaj do działu termosów. Marzenda uruchomił linię. Zapłonęły gazowe palniki, ruszyła produkcja.

— Co to za śmieszne bańki?

— Termosy. Trzymają gorąco.

— Powiadasz: gorąco? To musi być dobre...

Czarciołapek wsadził dłoń prosto w płomień palnika. — Ostatecznie może być. Ale w piecu czułem się znacznie lepiej. Potem wziął w garść nowiutką, świeżo posrebrzoną bańkę sporego termosu.

— Jaka zimna! Chyba coś bujasz z tym trzymaniem gorąca...

— Coś ty, nie bujam — oburzył się Marzenda, który właśnie wpadł na nowy pomysł pozbycia się biesa. — Nie bujam, jak diabła kocham. Gorąc jest, jak należy, ale w środku.

— W termosie?

— Nie. Między ściankami bańki. Przecież i w środku pieca było goręcej niż na zewnątrz. Tak samo jest i tutaj.

— Niemożliwe — nie dowierzało diablisko.

— No, to sam sprawdź. Przekonasz się. Włóż między ścianki!

— Którędy? Przez tę cienką rurkę? Za ciasna...

— A co? Nie potrafisz? Nie znasz piekielnych sposobów? To co z ciebie za syn piekieł? Chyba niedorajda jesteś i już.

— Nie obrażaj mnie, człowieku. Zaraz znajdę sposób. Zdraśnięty w diabelskiej ambicji Czarciołapek zaczął szybko maleć. Gdy jut był wielkości i grubości igły, wpełzł do środka. Marzenda tylko na to czekał. Chwycił bańkę i nad palnikiem szybko zatopił koniec rurki.

— Mam cię, diabelski pomioście! — zamruczał zadowolony. — Inni mogli takich dudków jak ty nabijać w butelkę lub zwabiać do dziupli, a ja cię nabiłem w termos! Posiedzisz tu sobie aż do końca świata. Myślałeś, że ci się uda przechytryć lubartowskiego hutnika? Nic z tego! Niedoczekanie twoje, ty psiawiario!

Wrzuciwszy cyrograf do pieca i przekonawszy się, że został dokładnie spalony, zadowolony Marzenda spokojnie poszedł do domu.

Niestety, zapomniał o skutecznym zabezpieczeniu naczynia, w którym zamknął diabła. Ten niebezpieczny ładunek po prostu postawił do zasobnika z innymi gotowymi już wkładami. Uważajcie więc, wszyscy szanowni posiadacze lubartowskich termosów, aby przez nieuwagę przypadkiem nie utracić szklanej końcóweczki. Jeśli nawet okaże się, że nie wypuścicie w ten sposób diabła Czarciotapka z jego niewoli, to i tak termos diabli wezmą...